



DON

Famiglia #1



MONIKA MADEJ

Copyright © 2021
Monika Madej
Wydawnictwo NieZwykłe
All rights reserved
Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja:
Kamila Reclaw
Korekta:
Magdalena Mieczkowska
Edyta Giersz
Redakcja techniczna:
Mateusz Bartel
Projekt okładki:
Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8178-752-9

MONIKA MADEJ

DON

FAMIGLIA #1

OŚWIĘCIM 2022

Dedykacja

Dla wszystkich, którzy pojawili się w moim życiu, dając mi pouczające lekcje.

Dla wszystkich, którzy zniknęli z mojego życia po to, abym mogła codziennie rano ze spokojem patrzeć sobie w oczy i nie martwić się otaczającym mnie fałszem.

Dla wszystkich, którzy się jeszcze w moim życiu pojawią i sprawią, że będę tak pewną siebie i twardą suką, jak Rosa Coletti.

Rozdział I

Życie nie przynosi ci ludzi, jakich chcesz. Przynosi takich, jakich potrzebujesz. Ludzi, którzy ci pomogą, którzy cię pokochają, którzy cię skrzywdzą i opuszczą. Wszystko po to, abyś stał się osobą, którą masz się stać, i traktował ludzi tak, jak na to zasługują.

TOMMASO

Nie znoszę tego miasta. Same parszywe mordy. Przed śmiercią ojciec przekazał mi najważniejsze kontakty i wskazówki. Zależało mu między innymi na interesach z tymi amerykańskimi głębami i powtarzał, że każdego potencjalnego współnika trzeba szanować. Uważał, że trzeba być otwartym na kontakty i współpracę. Fakt, nie mogę zaprzeczyć – rodzina Carterów jest równie potężna jak moja, ale to nie znaczy, że moja *famiglia* zastręsie portkami za każdym razem, gdy będziemy musieli przywieźć swoje dupy do tej zapyziałej dziury. Carter stara się robić wszystko, żebyśmy, będąc w San Francisco, oglądał się za siebie. Z tym pojebem nigdy nic nie wiadomo, tym bardziej że bawi się w interesy z ruskimi, a konkretnie z jednym. Z Andrejewem. Ale ja jestem bossem, samcem alfa. Włochem z krwi i kości. To ja dyktuję warunki i żadna amerykańska morda nie zmieni mojego podejścia. Nazwisko Coletti ma już swoją historię. Zna je każdy Włoch, więc, jeśli będzie trzeba, to pozna je też każdy pieprzony Amerykanin i Rosjanin.

Zerkam na telefon. Do umówionej godziny zostało jeszcze pięć minut. Zabrałem ze sobą tylko kilku najlepszych ludzi, z którymi teraz czekam w porcie na klienta – Pablo to kupa cho-

dzących mięśni i moja prawa ręka, moje oczy, uszy i szyja. Jest cholernie inteligentny, choć wygląda na tępego osiłka. Filippo jest za to lichej budowy, ale nadrabia umiejętnościami jako strzelec wyborowy, a Dario vel „Kanibal” bez użycia jakiegokolwiek broni potrafi zadać ból lub śmierć na sto różnych sposobów. W dodatku jest mistrzem we władaniu nożami. Nie chciałbym takiemu człowiekowi jak on nigdy stanąć na drodze, dlatego cięszę się, że mam taką bestię w swojej armii. Lino natomiast jest mężczyzną w średnim wieku i naszym medykiem. Od prawie dwudziestu lat służy rodzinie jako wykwalifikowany lekarz. Ostatni z kompanów to Nunzio – mój młodszy brat.

Musimy dziś dostarczyć „przesyłkę” – o ile transakcję obejmującą kontener heroiny można nazwać przesyłką – a później mamy kilka spraw do załatwienia w San Francisco i Vegas. Powinniśmy wyrobić się w tydzień i wracamy do kraju. Nie mogę tu dłużej zabawić. Albo i nie chcę. Nie ma znaczenia. W jednym z moich klubów zrobiła się zadyma i muszę usadzić pewną dziwkę. Życie szefa jest ciężkie. To, że można pieprzyć każdą pracującą albo przekraczającą próg klubu dupę, to jedno, ale użeranie się później z tymi cipami to już drugie. Wiecznie czegoś chcą. Na szczęście nie ode mnie, bo sam – mimo posiadanej władzy – nie korzystam z usług takich panienek. Mam swoją godność i nie jestem desperatem. Wolę zadowolnić się własną ręką niż byle jaką panienką. Niestety najmłodszy z naszych braci – Arturo – zawsze musi się w coś wpierdolić. Nie umie utrzymać fiuta w spodniach i łapie się za każdą chętną dupę. W zasadzie... za niechętnę też, a to kręci go jeszcze bardziej... Tymczasem te cipy myślą, że jeśli ktoś wypieprzy je raz czy dwa w jednym z klubowych kibli albo na tylnej kanapie samochodu, to zaraz zadeklaruje im coś więcej. Nigdy nie zabiłem żadnej kobiety, żadnego dziecka. Jesteśmy cywilizowani. Jedyne, co mogę zatem zrobić, to znów młodego przytrzymać w ryzach. Matka utnie mi jaja, jeśli nie wyprowadzę go na prostą, a byle pierwsza kurwa przyjdzie z brzuchem do naszego domu.

Odgłos kroków wyrzywa mnie z zamyślenia. Wyrzucam patyczek od lizaka, którego już dawno zjadłem – jestem uzależniony od tych słodczy. Spoglądam na zegarek. Punktualni jak zawsze. Pieprzeni gogusie.

ROSA

Jezu, to będzie ciężki dzień. Jest piąta rano. Spoglądam w lustro – sine worki pod zielonymi oczami, które są wynikiem mojego niewyspania, sprawiają, że wyglądam jak upiór. Muszę zdecydowanie wcześniej kłaść się spać i zwolnić trochę tempo. Przemywam twarz wodą i spoglądam przez okno na względnie jeszcze ciche San Francisco. Wschód słońca maluje lekko czerwoną poświatę wpadającą do pomieszczenia przez spore okno.

Ogarniam się szybko, żeby zdążyć na jogging – nie ma nic lepszego na pobudkę niż poranne kilometry. Umówiłam się z przyjaciółką Sonia, że dwa razy w tygodniu biegamy razem. Jestem zdecydowanie indywidualistką i wolę trenować w samotności, jednak wiem, że Sonia czuje się bardziej zmotywowana, gdy biega ze mną. Wpycham więc swoje cztery litery w strój treningowy. Czarny softshellowy dres opina każdą część krągłego ciała, nad którym muszę ciągle pracować. Długie kasztanowe włosy spinam w wysoki kucyk tak, aby idealnie skomponował się z nasuniętą na głowę czapką z daszkiem.

Grzebię w szufladzie komody stojącej w holu mojego apartamentu, a po chwili wyciągam niewielkie białe słuchawki. Zgarniam klucze od mieszkania, telefon i zatrzaszukuję drzwi. Zjeżdżam windą z dziesiątego piętra stosunkowo niedawno wybudowanego apartamentowca, w którym rok temu kupił mieszkanie mój ojciec. Taka była nasza umowa. Ja kończę studia i robię specjalizację – on zapewnia mi dobry start w postaci studzięściometrowego apartamentu, którego sięgające od su-

fitu do podłogi duże okna wychodzą na południowy wschód. Wnętrze jest zaprojektowane w minimalistycznym stylu. Z holu przechodzi się do salonu połączonego z aneksem kuchennym urządzonym w odcieniach szarości i czerwieni. Na ścianie wisi duży telewizor, do którego podłączyłam mocny sprzęt audio, bo uwielbiam „wychowywać” sąsiadów, kiedy Sonia wpada do mnie na babskie pogaduszki. Porządny bas to najlepsza metoda nauki cierpliwości i tolerancji. Przed telewizorem stoi obszerna biała trzyosobowa sofa wykonana z przyjemnej w dotyku alcantary, a po jej obu stronach dwa fotele typu relaks z tej samej kolekcji. Na prawo od salonu mieszczą się dwie małe sypialnie dla gości. W zasadzie nie wiem, po co mi one, skoro mieszkam sama, a na noc wpada tylko Jonathan albo Sonia. I z obojgiem zawsze śpię w moim łóżku. Tuż obok pokoi gościnnych mam wykończoną w bieli i szarości łazienkę, na środku której stoi wanna. Po drugiej stronie salonu mieści się moja sypialnia. Moje sanktuarium. Duże podwójne i wysokie łóżko stoi w centralnej części pomieszczenia. Obok niego szafka nocna, a na nim lampka. Uwielbiam czytać przed zaśnięciem, więc nie mogło zabraknąć takiego elementu. Z sypialni przechodzi się do niewielkiej garderoby. Chociaż „niewielkiej” to pojęcie względne. Dla mnie piętnaście metrów kwadratowych to wiele. Ale dla innych, czyli na przykład dla Sonii, pięćdziesiąt metrów kwadratowych półek bądź drążków na wieszaki to wciąż za mało. Piętnastometrowa szafa wystarcza mi w zupełności. Nie jestem typem kobiety, u której ten mebel pęka w szwach, choć mnie na to stać. Szanuję pieniądze i nie szastam nimi na lewo i prawo. Za garderobą jest moja łazienka z prysznicem zamiast wanny. Podobno prysznic lubią osoby, które szybko żyją, czyli takie jak ja, bo na oddech w ciągu dnia mam tylko kilka chwil, więc kąpiele ograniczam w czasie do minimum.

Dionisio się postarał z tym moim „małym” gniazdkiem. Jak cholera. Wiem, że zasłużyłam sobie na to ciężką pracą. Ukoń-

czyłam studia ze świetnymi wynikami, znalazłam dobrą pracę bez pomocy rodziców. Jestem chirurgiem, w zasadzie to jeszcze rezydentem, ale już niedługo. Moja kariera dopiero się zaczyna i śmiało stwierdzam, że kocham to, co robię. Nie wyobrażam sobie Rosy w innym wydaniu.

Na parterze rozsuwają się drzwi windy. Wychodzę, mijając sąsiadkę mieszkającą piętro niżej. Grzecznie odwzajemniam jej ciepły uśmiech. Ta starsza kobietka ma w sobie tyle werwy i to tak wczesnym rankiem. Na pewno jest grubo po siedemdziesiątce, a energii może jej pozazdrościć niejeden dwudziestolatek. Żwawym krokiem wparowuje do metalowej puszkii, obłożona wypełnionymi po brzegi siatkami. Swoją drogą, kogo ona karmi, że codziennie widuję ją z tyloma produktami? Sama jest drobniutka, a nigdy nie widziałam, żeby ktoś z nią mieszkał. No cóż. Wielu rzeczy nie wiemy o swoich sąsiadach.

Przechodzę przez duże, przeszkolone drzwi budynku i zatrzymuję się na chodniku. Lekki powiew wiosennego wiatru dodaje mi energii. Zamykam oczy, głęboko wdycham powietrze nosem, po czym wydecham ustami. Tak jest. Czas naładować akumulatory przed pracą. Wkładam w uszy sportowe słuchawki i włączam ulubioną playlistę na Spotify. Pierwszą piosenką, która rozbrzmiewa i napędza do działania, jest *Eye Of The Tiger*. Uwielbiam ten kawałek. Głównie dlatego, że kocham film *Rocky* i boks. Bas uderza o moje bębniaki, a ja wykonuję kilka szybkich ćwiczeń na rozgrzewkę i pędzę przed siebie.

Moje zamiłowanie do boksu i sportów walki zaczęło się chyba właśnie od tego – zwykłego filmu oglądanego z ojcem i bratem. Jako pięcioletnia dziewczynka siadałam tacie na kolanach, a on podczas scen na ringu chwycił moje pięści w swoje i udawałiśmy, że boksujemy. Oczywiście podczas każdej walki kibicowałam Rocky'emu i przeżywałam wszystkie ciosy, jakie dostawał. A teraz – jako dziewczyna mająca dwadzieścia pięć lat – prócz biegania, dwa razy w tygodniu trenuję boks – jeśli nadmiar obo-

wiązków mi tego nie uniemożliwia – i samoobronę. Zaczęłam między innymi dlatego, że dorastałam w środowisku, które wymagało umiejętności poradzenia sobie w trudnych sytuacjach. Strzelać? Też potrafię. Władać nożem? Jakżeby inaczej. Jestem samowystarczalna i potrafię się bronić. Nigdy nie wiadomo, czy pośród naszych przyjaciół nie znajdzie się wróg.

Skąd u mnie takie podejście?

Mój ojciec jest jednym z najbardziej bezwzględnych prokuratorów w kraju, co niestety nieraz kończyło się pogrózkami, podpaleniem samochodu bądź wybiciem szyb w domu. Jego włoski temperament sprawia, że kiedy wkracza na salę sądową, wszyscy wokół czują jego aurę bezlitosnego, bezwzględnego i dążącego do celu człowieka. Dionisio Provenzano budzi grozę. Dlatego też musiałam – ale później i chciałam – uczyć się radzenia sobie z napastnikami. Ojciec nie popadał w paranoję, nie zamykał nas przed światem. Nie wynajmował ochrony. Mimo swojego zawodu chciał zapewnić nam najbardziej normalne dzieciństwo, a mojej matce życie, jakie tylko mogła wymarzyć. Gdy miałam dziesięć lat, ojciec zapisał mnie na pierwsze treningi boksu do szkoły, w której od roku trenował mój brat bliźniak – Emanuele. Później dodatkowo zainteresowałam się samoobroną i postanowiłam uczęszczać na takie zajęcia. Krav maga jest stylem samoobrony, w którym bijesz, by zabić lub mocno okaleczyć. Byłam wtedy jedyną dziewczyną, która chciała to trenować. Zdawałam sobie sprawę, że napażanie się z facetami nie jest zbyt kobiece, ale miałam to głęboko w dupie. Robiłam to, co kochałam, a mając wsparcie rodziców i brata – tym bardziej chciałam trenować. To pozwalało mi wyrzucić gniew i dobrze spożytkować nadmiar młodzieńczej energii, a jako nastolatka byłam nieokiełznana. Chwała mojej mamie, że miała do mnie tyle cierpliwości. Ta złota kobieta ma zarezerwowane specjalne miejsce w niebie.

Sport uczy samodyscypliny, trzyma w ryzach, więc im dłużej trenowałam, tym bardziej zaczynałam się ogarniać. Począt-

kowo wszyscy dawali mi fory, uważając za delikatną i kruchą dziewczynkę, ale po kilku pierwszych sparingach, które kończyły się moim zwycięstwem, stałam się kumplem chłopaków trenujących razem ze mną. Kumplem, nie kumpelą. Gadaliśmy o wszystkim bez skrępowania – od treningów i bijatyk po pierdzące jednorozce.

Dwie przecznice dalej czeka na mnie Sonia i razem kierujemy się do Alta Plaza Park. Mkniemy ulicami pomiędzy ludźmi, którzy za chwilę zaczną swoje nudne życie szczura za biurkiem w tym korpoświecie. Wszyscy jednakowo ubrani. Szarzy, ponurzy. Zdecydowanie nie nadawałabym się do takiego życia. To takie smutne. Nie ukrywam, że lubię mieć wszystko zaplanowane i poukładane, ale to zupełnie co innego niż dostosowywanie się do norm i jakichś chorych kodeksów korporacji.

Kiedy dobiegamy do Alta Plaza Park, zerkam na smartwatcha, który pokazuje, że przebiegłyśmy cztery kilometry. Jak zawsze o tej porze park jest cichy i spokojny. Mijają nas tylko najbardziej zapaleni sportowcy albo nałogowi biegacze.

– So, rundka dookoła parku i wracamy.

– O Jeeezu, Rosa, musimy zacząć biegać wieczorami. O tej porze nie ma nawet na kim oka zawiesić, a co dopiero wyrwać na małe bzykanko. Tylko my jesteśmy takie walnięte i zwlekamy swoje wielkie dupska, żeby biegać tak wcześnie – wyrzuca z siebie pretensje, lekko dysząc, po czym spogląda na mnie z irytacją.

– Hola, hola, upominam cię. Szanuj swoją wielką dupę, masz tylko jedną – rzucam w stronę przyjaciółki wymowne spojrzenie i nie muszę długo czekać na ripostę.

– A pieprzyć moją dupę. I to dosłownie. Dobrze, że mam tylko jedną, jeśli wiesz, o co chodzi. – Jej wyszczerzone, białe kły doprowadzają mnie do śmiechu i ciężko mi unormować oddech pod-

czas dalszego biegu. Nie odpowiadam. To i tak nie ma sensu, bo przegram tę słowną wojnę. Brak tego jedynego faceta w jej życiu doprowadzi mnie do totalnego fioła. A bycie strażniczką moralności tej wyuzdanej kobiety już zaczyna mnie powoli przerastać. Nawet nie wiem, w którym momencie z szarej myszki So zmieniła się w taką tryskającą seksem, niewyżytą nimfomankę.

Okrażamy park i wracamy do domów. Wpadam do środka, rzucam klucze na komodę i lekkim trzaśnięciem zamykam drzwi. Spoglądam na zegarek. Szósta dwadzieścia – cholera. Biegiem pod prysznic. Kucyk zamieniam na kok, z którego wypada kilka niesfornych kosmyków. Odszukuję w garderobie uniform i pośpiesznie się ubieram. Szybka owsianka na mleku migdałowym to mój codzienny poranny rytuał. Zgarniam torbę, wkładam na nos okrągłe okulary w poślacanej oprawce i wychodzę z mieszkania.

O siódmej trzydzieści muszę być w szpitalu.

Rozdział II

TOMMASO

– Coletti. Witaj w moich skromnych progach. Dawno cię u nas nie było. – Średniego wzrostu blondyn szczyrzy się do mnie, jakby był panem świata.

– Daruj sobie, Carter. Nie jechałem tyle kilometrów, żeby się z tobą spoufalać i mówić, jak bardzo się cieszę, że cię widzę. Do rzeczy – odpowiadam człowiekowi witającemu nas w „swoim” mieście.

Martin Carter to gnida jakich mało. Swoją potęgę zbudował na interesach ojca, którego dwa lata temu zatrzymali tajniacy. Adam, ojciec Martina, był wysoko postawionym szefem w San Francisco. Założona przez niego firma deweloperska była jedynie przykrywką dla jego ciemnych interesów. Uważał, że trzęsie tam wszystkim i wszystkimi. Owszem, na dźwięk jego nazwiska sporo ludzi z naszej branży, z policji i innych podobnych instytucji srało w gacie. A sam Carter był przekonany, że San Francisco należy do niego i każdy mieszkający tam człowiek również. Grubo się mylił, kiedy się okazało, że trafił w sędzie na godnego przeciwnika, który nie dał się kupić. Gość zwyczajnie rozjechał system, przygwoździł Adama Cartera i zamknął w najbardziej chujowym więzieniu w całej Ameryce, serwując dożywocie. Po miesiącu Carter powiesił się w celi. Takie są oficjalne informacje. Ale wszyscy z naszego kręgu wiedzieliśmy, że ktoś zwyczajnie wyeliminował jednego pionka z gry o władzę i udało się to tylko dzięki temu, że zamknęli go z dala od jego ochrony. Inaczej byłby nie do ruszenia, bo wszędzie miał swoich ludzi. Ponadto

strzegł swojego miejsca zamieszkania i doskonale wiedział, jak chronić swoich bliskich. Rodziny nie ujawniał. Wiedzieliśmy tylko, że ma żonę i dwójkę dzieci, ale nikt nigdy ich nie widział ani nie wiedział, jak się nazywają. Mieliśmy za to nadzieję, że po śmierci starego Cartera to jego pseudoimperium padnie. Jednak okazało się, że jest następca – Martin, przejmuje interes po ojcu i bawi się w mafię.

– Transport dojechał. Jak widzisz, osobiście dopilnowałem, żeby wszystko grało – silę się na uprzejmość wobec dupka, który stoi naprzeciwko mnie w otoczeniu swoich ludzi.

– Jak zawsze konkretny. Musisz być taki sztywny, Tommaso? Nie uważasz, że nasi ojcowie byliby zadowoleni, gdybyśmy dogadywali się trochę lepiej?

Gnida. Wyciąga pamięć naszych ojców. Faktem jest, że mieli zdecydowanie lepsze relacje i ich współpraca kwitła, a my zmuszamy się do ubijania interesów. Jednak Martina od Adama różni to, że ten obecny boss brudzi sobie ręce „towarami”, które dla mnie i mojej rodziny są haniebne.

– Podałś chyba nie najlepszy argument, Carter. Twój ojciec pewnie przewraca się w grobie, widząc, czym się teraz zajmujesz. A ja nie zamierzam babrać się w takim gównie – warczę, a z jego pyska znika ten pewny siebie uśmieszek. Bingo. Jeden zero dla mnie, sukinsynu.

– To biznes jak każdy inny. Mój ojciec nie chciał w to wchodzić, bo musiałby częściej wychylać się ze swojej twierdzy. Bał się jak pizda, a ja... Cóż. Ja lubię ryzyko. I dobre dziwki. To, że mogę wszystkie te cipki przetestować pierwszy, jara mnie na całego. Sam też mógłbyś spuścić z krzyża. Może nie miałbyś takiego kija w dupie. Było miło, ale czas już na was – rzuca na odchodne.

Ktoś tu się chyba wkurwił. Gdyby jego ojciec żył, nigdy nie pozwoliliby Martinowi na takie biznesy. Sprzedawanie młodych cudzoziemek do burdeli jest czymś, czym moja rodzina nigdy by

się nie zajęła. Prędzej żarłbym suchy chleb, niż zarabiał na kobiecych cipkach. Co innego, jeśli chcą być kurwami. Ich wybór. Ale porywać i zmuszać? Nie, nie. Mam swój honor, czego, jak widać, nie można powiedzieć o Carterze.

Czas zakończyć to spotkanie, dopóki się jeszcze nie pozabijaliśmy. Bez słowa daję znać chłopakom, że czas się zbierać. Nie przyjechałem tu dziś przelewać krwi, więc wsiadamy do SUV-ów zaparkowanych przy kontenerach i jedziemy do hotelu.

Podjeżdżamy przed okazały budynek hotelu Hilton. Spoglądam w górę.

– Tylko pieprzony tydzień – mrużę do siebie. Rzadko bywam w USA. Nie mam potrzeby przylatywania tu i bratania z tymi, pożał się Boże, gangsterami. Mój kuzyn mieszka w Stanach i zajmuje się naszymi wspólnymi interesami. Nie lubię klimatu panującego w tym kraju. Nie lubię tego, jak ludzie tu żyją. Korposzczury, biznesmeni w sztywnych gajerach uważający się za panów świata, a tak naprawdę to nic nieznaczące pionki na planszy zwanej życiem.

W holu od razu kierujemy się do recepcji. Młoda, drobna blondynka patrzy na mnie, jakby za chwilę miała się posikać. Nie wiem tylko, czy ze strachu, czy z podniecenia.

– Tommaso Coletti – przedstawiam się recepcjonistce. – Mamy tu trzy apartamenty. Chcielibyśmy odebrać nasze karty. – Wymuszam najbardziej naturalny uśmiech, na jaki mnie stać. Nie jestem ekspertem od kobiet, ale jej reakcję na mój widok rozpoznaję. Całe jej ciało mówi: weź mnie. Biedne dziewczę nie wie tylko, że ja nie jestem jak większość tych bogatych gości, którzy pieprzą wszystkie chętne dupy. Ja jestem łowcą – lubię zdobywać i wybieram tylko najlepsze okazy. Wszystko, co łatwe, jest bez smaku. Jeśli nie mam ochoty na jakąś „relację”, nie daję sy-

gnałów, bo później kończy się to tak samo jak u Arturo – tępe laski trują dupę. Dlatego żadna z chętnych panienek śliniących się na mój widok i jasno dających do zrozumienia, że mogą mieć ją tu i teraz, nigdy nie poczuje mojego fiuta w swojej cipce.

– Proszę, panie Coletti. Dziesiąte piętro, na prawo od windy korytarzem do samego końca. Gdyby pan czegoś potrzebował, służę pomocną dłońią. – Dziewczyna wygina swoje usta w, jej zdaniem, seksownym uśmiechu.

Serio?

Mam ochotę wybuchnąć śmiechem. Chłopaki patrzą na mnie i powstrzymują reakcje. Ona zaczęła grać w „tę” grę. Okej, to pogramy.

– Mm... Lubię do końca. Na korytarzu. Nie ma znaczenia, w którą stronę. Dziękuję, jeśli nie dojdę sam, to poproszę o pani pomocną dłoń – wypowiadam te słowa i zdecydowanie podkreśliłam słowo „dojdę”. Szczerzę się jak debil, a chłopaki parszczą śmiechem. Oni mnie znają i wiedzą, że to się jej nie uda. To ja jestem mistrzem takich gier. Dziewczyna oblewa się rumieńcem i spuszcza wzrok. Nie wiem, co sobie pomyślała, ale domyśliłam się, że gdybym tylko wskazał jej palcem windę, rzuciłaby się do niej galopem, a po drodze zrzuciła majtki już na korytarzu.

Wjeżdżamy na dziesiąte piętro, na którym mieszczą się trzy wynajęte przez nas apartamenty. Mam własny, bo cenię sobie prywatność. Pozostałe dwa należą do chłopaków. Przekraczam próg swojego lokum i zatraskuję drzwi. Rozglądam się i widzę całkiem przyjemne wnętrze. Mały aneks kuchenny z salonem, łazienka z obszernym prysznicem – dzięki Bogu, bo przy swoich gabarytach rozniósłbym mniejszą kabinę. W sypialni pod oknem stoi duże łóżko w wersji komfort. Mam swoje przyzwyczajenia i musiałem poprosić obsługę o twarde materac. Tylko na takim się wysypiam. Twardy gość – twarde wszystko. À propos wszystkiego. Muszę iść pod prysznic, bo moje spodnie nie wytrzymują już naporu nabrzmiałego penisa. Reakcja tej małej na

dole mnie podnieciła i wiem, że mógłbym ją teraz przerznąć, ale to wbrew moim zasadom. Boję się zarazków.

Wchodzę do łazienki i zrzucam ten pieprzony garnitur, w którym kiszę się od przylotu do USA. Wiem, że jako boss muszę spełniać pewne standardy, ale – kurwa – serio nie można było wybrać dresu albo chociaż jeansów zamiast tych sztywniackich, biznesowych ubrań? Ktoś, kto narzucił mafii ten dress code, zdecydowanie nie wiedział, co robi! Całe szczęście zakładałam te ubrania tylko wtedy, kiedy muszę.

Wychodzę spod prysznic i wycieram ciało miękkim czarnym ręcznikiem. Obiecałem swoim ludziom trochę rozrywki po ciężkim dniu, więc nasuwam na pośladki bokserki, a na nie jasne jeansy. Do tego zrzucam czarną koszulę i podwijam rękawy do łokci. Dzwonię do Nunzia z informacją, że za pół godziny widzimy się przy windzie. Przyjemność przyjemnością, ale mam też obowiązki i między tymi przyjemnościami muszę wykonać kilka telefonów do Włoch. Przede wszystkim oddzwonić do matki, która próbowała skontaktować się ze mną siedemnaście razy. Mam trzydzieści lat i jestem *capo*. Rządzę dużym terytorium, władam oddziałami składającymi się z kilkuset ludzi, a muszę meldować się tej kobiecie kilka razy dziennie. Istny cyrk.

Po trzydziestu minutach wszyscy wsiadamy do samochodów czekających przed budynkiem. Nie wysiłałem się, żeby zabierać moje środki transportu do USA, więc wynajęcie aut na kilka dni było koniecznością. Muszę przyznać, że to chyba jedna z nielicznych rzeczy, jakie Amerykanie robią dobrze – auta. We Włoszech mam kilka amerykańskich cacek i są to zdecydowanie moje ulubione zabawki.

– Ruszajmy się zabawić w tej, kurwa, cholernej dziurze.

ROSA

Minęła dwudziesta, więc żegnam się ze wszystkimi pracownikami oddziału i udaję na przyszpitalny parking. Z pracy do miejsca zamieszkania mam spory kawałek, więc wsiadam do czerwonej strzały, czyli ulubionego SUV-a, i mknę ulicami w kierunku mojego sanktuarium. Mówią, że kolor auta odzwierciedla mój temperament. Hmm... Zdziorna, pewna siebie, pyskata i nieskromna. Tak, to cała ja, czyli – jak widać – wszystko pasuje. Czy jestem pyszna i zadufana w sobie? Nie, po prostu wychodzę z założenia, że ten, kto zna swoją wartość, powinien być pewny siebie. A ja właśnie taka jestem – znam swoją wartość.

Uwielbiam San Francisco o tej porze, czyli wtedy, gdy zaczyna tętnić życiem.

Dzisiejszy dzień w szpitalu był dość spokojny. Jeden ranny mężczyzna z wypadku. Mały chłopiec, któremu musiałam zszyć ranę na łuku brwiowym i kobieta... Tak, kobieta... Kręcę głową na to wspomnienie i zanoszę się śmiechem. Mój profesjonalizm o mały włos nie legł w gruzach, bo zachowanie powagi w tak głupiej sytuacji wymagało ode mnie nie lada wyczynu. Byłam zdziwiona, gdy ze szpitalnego oddziału ratunkowego zadzwonili na chirurgię, żeby wezwać specjalistę do nietypowego przypadku. Zaznaczyli, że to musi być kobieta, bo pacjentka już od początku robi awanturę. Wypadło na mnie, bo na oddziale byłam jedyną przedstawicielką swojej płci na dyżurze. Gdy zesłam na oddział, zobaczyłam... pacjentkę z korkiem analnym głęboko w dupie. Włożyła go głęboko, a skurcz mięśni zwieracza skutecznie utrudniał wyjęcie przedmiotu, więc już mnie nie dziwiło, że chciała lekarza tej samej płci. Czarna otchłań wessała metal i nie chciała oddać. Ile ja się musiałam namęczyć i nagadać, wręcz naprosić, żeby pacjentka w końcu się wyluzowała i pomogła mi wyjąć jej z tyłka ten cholerny kawał metalu. Ledwie udaje mi się powstrzymać śmiech. Im dłużej pracuję, tym mniej rzeczy mnie dziwi.

Wjeżdżam na podziemny parking budynku, w którym mieszkam. Opuszczam auto, wsiadam do windy i jadę na dziesiąte piętro. Podróż trwa krótko. Po wejściu do mieszkania, rzucam torbę przy drzwiach i odruchowo spoglądam na telefon. Żadnych wiadomości, nawet od Jonathana. Okej, skoro nie mam żadnych planów, postanawiam nadrobić kilka odcinków ulubionego serialu na Netfliksie. Nastawiam wodę na gorącą czekoladę, a potem przebieram się w mięciutki szary dres. Mam już bliżej do trzydziestki niż do dwudziestki, a nadal jest we mnie sporo z małej, beztroskiej dziewczynki.

Zaparzam sobie słodki napój, zgarniam kubek i moszczę się na sofie. To jedyna słodkość – poza beżą Pavlovej – na którą sobie pozwalam. Moje kulinarne życie bywa nudne. Wielu rzeczy nie lubię, na przykład owoców morza, tataru czy szpinaku. Innych nie mogę jeść, bo są po prostu niezdrowe. Musiałam wyłączyć wiele potu i łez, aby moje ciało wyglądało tak, jak prezentuje się teraz, więc unikam w życiu dwóch rzeczy – problemów i niezdrowego jedzenia. A nie, poprawka. Jeszcze wszelkiego rodzaju os, pszczoł, bąków, trzmieli, szerszeni i całego tego obrzydliwego robactwa. Wzdrygam się na samą myśl. Faj. Mam na nie uczulenie i zawsze noszę przy sobie strzykawkę z adrenaliną. Tak na wszelki wypadek.

Nim zdążam włączyć serial na telefonie wyskakuje powiadomienie o nowej wiadomości.

Od: JONATHAN

Porywam cię. Będę za 30 minut.

Aha, czyli już mam plany na wieczór. Pyszna, gorąca czekolada przykuwa mnie do sofy słodkimi kajdankami, przez co wcale nie chce mi się ruszać tyłka z miejsca, w którym siedzę. Przez myśl przebiegają mi miliony wymówek, ale nim zdążam coś odpisać, dostaję kolejną wiadomość.

Od: JONATHAN
 NAWET NIE PRÓBUJ SZUKAĆ WYMÓWEK.

Pieprzona wróżka Casandra? Skąd on to wiedział? Nie mam pojęcia, ale, jak widać, nie mogę kombinować. Ostatnio widujemy się rzadziej – ja dużo pracuję, on większość czasu spędza na treningach. Trochę się za nim stęskniłam, więc szybko dopijam czekoladę i odpisuję.

Do: JONATHAN
 Jesteś niemożliwy. Mam być elegancka?
 Od: JONATHAN
 Zawsze wyglądasz pięknie. Zaskocz mnie.
 Do: JONATHAN
 Więc zakładam pluszowy dres!
 Od: JONATHAN
 OKEJ, Piękna. Do zobaczenia.

Na pewno byłoby dla niego zaskoczeniem, gdybym założyła sukienkę. Te są zarezerwowane tylko na naprawdę wyjątkowe i oficjalne okazje.

Prysznic zajmuje mi pięć minut. Nie mam za wiele czasu, więc spletałam włosy w luźny dobierany warkocz. Zostawiam kilka niedbale zwisających, krótszych kosmyków przy skroniach. W lustrze widzę teraz Larę Croft z Tomb Raider, więc się do niej uśmiecham. Fryzura gotowa, ale co dalej... Zaczynają się schodki, bo nigdy nie umiałam się malować. Mam tylko tusz do rzęs, matową pomadkę w kolorze nude, krem BB i dwie lewe ręce do robienia makijażu. Bardziej ze mnie chłopczyca niż delikatna i pindrząca się laska. Weźmy na przykład So. Ona jest uosobieniem kobiecości i maluje się nieskazitelnie nawet na nasz cholerny jogging. Nieraz oferowała mi szybki kurs, ale stanowczo odmawiałam. Nie dam się zrobić w te pierdoły, bo zwyczajnie

szkoda mi na to czasu... no może nie na manicure i pedicure, bo uwielbiam mieć zadbane paznokcie. Naturalne i krótkie, wygodne do bokerskich rękawic.

„Zrobiłam” twarz i pachnę kusząco, ale nie mam pojęcia, w co się ubrać. Cokolwiek założę i tak mnie z tego rozbierze, kiedy wylądujemy w łóżku, więc bielizna, którą zazwyczaj noszę, opada. W sumie, wierząc lustru i Jonathanowi, i tak we wszystkim wyglądam świetnie. Jestem dość szczupła, a dzięki treningom moje ciało jest całkiem umięśnione i sprężyste. Dodatkowo matka natura obdarzyła mnie obfitym biustem w rozmiarze 75D. Jestem ogromną fanką bawełnianych majtek typu hipster i biustonoszy semi soft. Wygoda to dla mnie podstawa, a inny materiał niż bawełna zwyczajnie gryzie mnie w dupę i nie potrafię w nim zbyt długo wytrzymać. Dzisiaj jednak muszę przecierpieć i założyć tę nieszczęsną koronkę. Schylam się do dolnej szuflady, w której mam kilka takich kompletów na spotkania z Jonathanem. Wybieram biały zestaw – biustonosz zapinany z przodu, a do tego stringi z wysokim stanem kończące się delikatnie pod linią pępka. Głęboki wdech i rozglądam się po wieszakach.

– Nie. Nie. To nie. Hm...

W głębi szafy dostrzegam wąskie białe jeansy. Dobra, chyba będą pasować. Do spodni dobieram błękitną koszulę w małe granatowe jaskółki. Nie zapinam trzech guzików od góry, odsłaniając kawałek dekoltu, a rękawy podwijam do łokci, odsłaniając część tatuażu, który zrobiłam sobie kilka lat temu. W zasadzie to mam ich kilka. Pierwszy był napis „faith” na prawej ręce przy nadgarstku. Za uchem mam wytatuowaną koniczynę – na szczęście, a na środkowym palcu lewej dłoni diament. Tym palcem pozdrawiam wszystkich, którzy na to zasłużą. Po jakimś czasie zgubiłam rączkę, ile mam tych dziar. Największy i najbardziej rzucający się egzemplarz w mojej kolekcji to tak zwany „rękaw” na lewej ręce ciągnący się od nadgarstka do szyi. Przedramię z zewnętrznej strony zajmuje wizerunek połowy pyska tygrysa. Jest w odcieniach

czerni i szarości z jednym kolorowym elementem – zielonym okiem. Takim jak moje. Na ramieniu tatuaż przechodzi w profil wilka wyjącego do księżyca, który jest okolony lasem i pnączami kończącymi się z tyłu szyi. Idealne odzwierciedlenie mojej dzikiej, walecznej, zwierzęcej strony. Wewnętrzna część przedramienia pokryta jest kwiatami: magnoliami, frezjami i różami, na których spoczywa krwistoczerwone serce przypominające diament. Jedno jest pewne – tatuaże uzależniają i na pewno, na pewno nie powiedziałam w tym temacie ostatniego słowa.

Na koszulę narzucam szarą futrzaną kamizelkę. W związku z tym, Jonathan, choć ma metr osiemdziesiąt osiem wzrostu, jest niewiele wyższy ode mnie, wybieram popielate szpilki na zaledwie ośmiocentymetrowym obcasie i pasującą do nich zamszową torebkę. Wykonuję ostatni rzut oka na swoje odbicie w lustrze.

– Idealnie – mamroczę do siebie i po chwili zerkam na zegarek.

Zostało mi jeszcze pięć minut, a – znając mojego chłopaka – będzie punktualny co do minuty. Przekładam wszystko, co niezbędne, z mojej codziennej torebki do tej, którą wybrałam na dzisiejszy wieczór. Portfel, klucze, zastrzyk, telefon. Chyba o niczym nie zapomniałam.

Dzwonek do drzwi odrywa mnie od wyliczania. Otwieram, a Jonathan wita mnie w proggu bukietem herbacianych róż. Nigdy mnie nie zapytał, jakie kwiaty lubię najbardziej. Gdyby to zrobił, wiedziałby, że nie znoszę ciętych. Zdecydowanie wolę te, które nie zdechną po tygodniu. Wolałabym dostać badyla w doniczce, który za jakiś czas zakwitnie, niż bukiet. On na pewno uznaje to za romantyczne – róże dla Rosy... co za banal. Nie chcę mu jednak sprawić przykrości, więc odwzajemniam uśmiech, udając zachwyt, i lustruję mojego mężczyznę od góry do dołu. Przez większość czasu widuję go w dresie. Ewentualnie bez niego. A dziś jest ubrany w jasne jeansy, białą koszulę, na którą zarzucił rozpinany szary sweter, a na nogach ma mokasy. Nie wygląda już jak mój ogr. Bardziej jak elegancki sobowtór

mojego ogra. Jonathan jest Afroamerykaninem o tak ciemnych oczach, że wydają się niemal czarne. Ma kwadratową szczękę, na której nie da się dostrzec śladu zarostu, trochę krzywy nos, kilka razy złamany podczas walk, i łysą głowę – dlatego przekomarzam się i nazywam go ogrem. Trenuje już tyle lat, że jego ciało jest nienaganne – muskularne, bez grama tłuszczu. W przeciwieństwie do mnie nie ma ani jednego tatuażu. Uważa nawet, że szpecę tym swoje ciało i nie powinnam tego robić, bo na starość będę wyglądała żałośnie. Deklaruje przy tym jednak, że – oczywiście z miłości – akceptuje moje dziwne uzależnienie.

Pamiętam dzień, kiedy pierwszy raz stanęliśmy do sparingu. Miałam szesnaście lat, a Jonathan osiemnaście. Zamieniliśmy ze sobą nie więcej niż jedno zdanie. Mimo że uczęszczaliśmy do tej samej szkółki bokserskiej i dość dużo czasu spędzaliśmy w jednej sali, nie przepadaliśmy za sobą. Trenowałam boks krócej niż on i przede wszystkim nie „chodziłam” w tej samej wadze. Bardzo mi dokuczał. Takie przedszkolne przekomarżanie i docinki u nastolatków. Nasza przygoda zaczęła się od tego, że owa „krucha” kobietka go pokonała. Fakt, nie należę do drobinek, bo mam metr siedemdziesiąt siedem i całkiem szczupłą budowę ciała, ale mierzenie się z facetem mającym takie gabaryty jak Jonathan i trenującym wtedy od prawie trzynastu lat, z góry przesądzało o mojej klęsce. Musiałam wziąć go sposobem i jak już udało mi się tego ogra zagonić w narożnik, okładałam jego brzuch pięściami z całych sił, aż uniósł ręce. Na początku przekomarżał się, że dał mi wygrać, ale wszyscy wiedzieliśmy, że to nieprawda. Nigdy się do tego nie przyznał, ale to był dzień, w którym zaimponowały mu moja determinacja, zwinność i temperament. Włoski temperament odziedziczony po tacie. Wtedy topór wojenny został pogrzebany, a my się zaprzyjaźniliśmy. Kiedy poznałam jego drugą, uroczą i kochaną stronę, zostaliśmy parą.